

Balik, Zenon

W syberyjskich tajgach żyć ... (7)

Przegląd Pruszkowski nr 2, 48-63

2003

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

W syberyjskich tajgach żyć...

(7)

*Dziesiąty luty będziem pamiętali,
Przyszli sowieci, myśmy jeszcze spali,
I nasze dzieci na sanie włożyli,
Na główną stację wszystkich wywozili.*

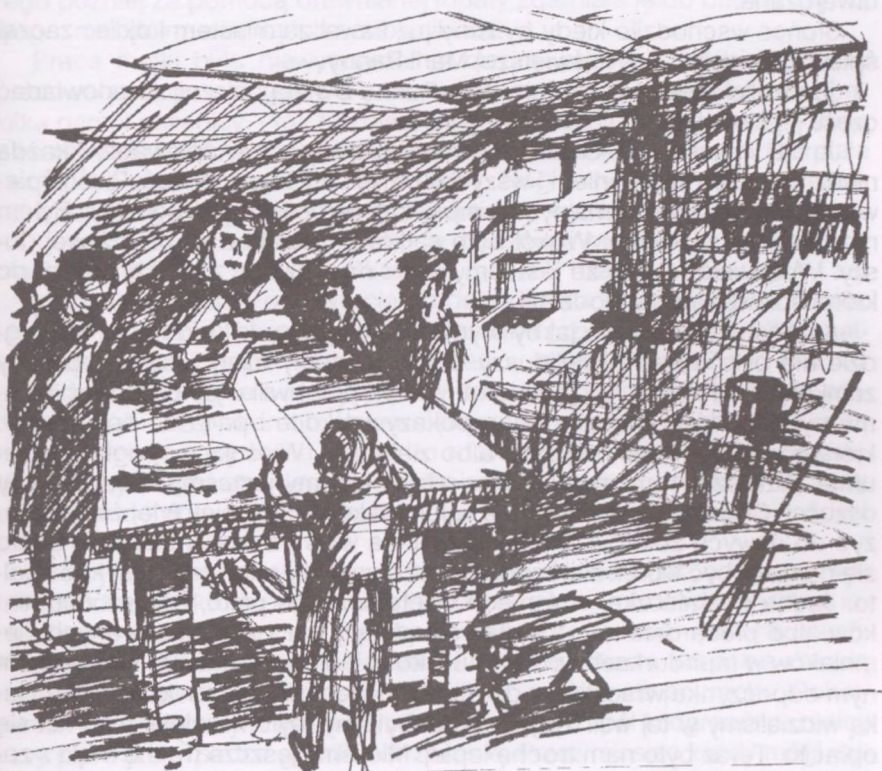
ŻYCIE W NADZIEI

Niezależnie od warunków klimatycznych, które są bardzo surowe, kraina Syberii jest przepiękna. Bogata roślinność, dużo rzek, lasów i ogromna przestrzeń. Tak jak w piosence „*Szıraka strana maja radnaja...*” Gorzej tylko z tym „*wolnym dyszaniem*”. Człowiek wolny mógłby tu żyć dostatnio, ale żeby nie był bez przerwy nękany i przenoszony z miejsca na miejsce. Pewność dnia dzisiejszego i spokój o jutro oraz czas odpoczynku w okresie letnim - to warunki niezbędne człowiekowi, żeby miał wytchnienie po ciężkiej zimie.

Latem musi Sybirak nabierać różnych zapasów na zimę, wyhodować potrzebne produkty żywnościowe, ukosić dostateczną ilość siana dla bydła, naściagać dużych ilości drewna na opał. Trzeba też mieć coś swojego, a przede wszystkim dom. Wielu Sybirakom tego brakowało, a zwłaszcza nam, Polakom.

W zimie 1943 roku dotarła do nas kolejna fala nadziei i pomoc. Polonia zagraniczna szczególnie z USA i od Żydów z Palestyny, przez organizacje charytatywne i dzięki porozumieniu generała Sikorskiego z Sowietami, realizowała pomoc materialną Polakom przebywającym na Syberii. Otrzymaliśmy trochę odzieży i artykułów żywnościowych. Zapanowała wśród nas nieopisana radość, nie tyle z pomocy, jak z faktu, że są jeszcze rodacy i ludzie innych narodowości, którzy pamiętają o nas i na odległość podają nam swoją braterską rękę. Każda rodzina otrzymała na każdego członka koc, buty i płaszcz lub inne ubranie i jeszcze coś z bielizny oraz 5 kg mąki pszennej, kilka puszek mleka (nazywaliśmy je ptasim), co najmniej kilogram masła solonego na osobę, trochę smalcu, suszonych fig, cukru i cukierków, a może jeszcze coś, czego nie pamiętam.

Zdawało się nam, że z nędzarzy staliśmy się od razu bogaczami. Niezależnie od jednorazowej wydatnej pomocy dla każdej rodziny, na dodatkową prośbę lub poparcie niektórzy ze względu na liczną rodzinę lub chorobę mogli otrzymać jeszcze dodatkową pomoc. Do podziału dóbr była powołana komisja przy naszym delegacie, panu Rudolfie Puchalskim. Pamiętam, że w kilka tygodni po głównym rzucie pomocy ojciec poszedł do delegata prosić o dodatkową pomoc i otrzymał parę kamaszy podkutych gwoździami i podkówkami oraz kilka sukienek dla matki i sióstr, palto i coś jeszcze.



Wiosną 1943 r., po spożyciu większej części otrzymanej żywności, ojciec postanowił upłynnić kilka kocy i jesionek, bez których mogliśmy się obejść. Chciał je zamienić na zboże lub ziemniaki we wsi Aszkaul leżącej

około 15 km za Kanskiem. Pożyczył od Prutkowa wózek „*tieliżkę*” na dwóch delikatnych kółkach, bardzo lekki do pchania ręcznego. Jednej niedzieli ojciec wstał raniutko, przed wschodem słońca, obudził mnie i jeszcze przed wschodem wyszliśmy z miasta. Ojciec pchał wózek a ja dreptałem przy nim. Była to moja pierwsza i ostatnia wycieczka tak cudowna, że została w mej pamięci na zawsze, bo nigdy wcześniej nie byłem z ojcem tak długo sam na sam, w tak dalekiej podróży pieszej. Trzeba było przejść nizina jakąś 7 km i dalej wychodziło się pod górę na płaskowyż. Nizina była cały czas pofałdowana, były to naturalne dołki i pagórki, między solankami. Droga też falowała, bo nie była regulowana ani utwardzana.

Słońce wschodziło kiedy byliśmy już kawał za miastem i ojciec zaczął śpiewać Godzinki do Najświętszej Marii Panny:

„Zacznijcie wargi nasze chwalić, Pannę Świętą, zacznijcie opowiadać cześć jej niepojętą...”

Ja mu wtórowałem. Godzinki w naszej rodzinie były śpiewane w każdą niedzielę przed śniadaniem i wszyscy umieliśmy je na pamięć. Pieśń śpiewana w całości w normalnym tempie zajmuje blisko pół godziny. Byłem niezmiernie szczęśliwy. Wokół było całkowite pustkowienie i brak żywej duszy. Wydawało mi się, że jesteśmy sami na tej ziemi z Matką Boską, do której śpiewaliśmy te Godzinki.

Aszkaul wydał mi się jakby wymarły. Minęliśmy kilka domów, ale nigdzie nie było widać żywej duszy. Niektóre domy miały jeszcze po nocy zamknięte okiennice. Ojciec stukał w nie i po chwili wychodził ktoś z domu pytając, o co chodzi. Ojciec pokazywał koce i palta do sprzedania, które chciał wymienić na proso albo ziemniaki. Wieśniacy spoglądali nieufnie. Wzruszali ramionami, nie wiedzieli kim my jesteśmy, złodzieje czy oszuści. Chwalili towar ale prosa i ziemniaków sami mieli tyle, żeby przeżyć do nowych zbiorów. Obeszliśmy całą wieś i z wielkim trudem udało się nam zdobyć worek ziemniaków i ze dwa kilo prosa, za jeden koc i palto. Jedna wieśniaczka, w ramach odpłatności za palto, oprócz ziemniaków albo prosa dała nam posiłek składający się z kilku gotowanych ziemniaków w mundurkach i po garnuszku zsiadłego mleka. Po kilkugodzinym odpoczynku wracaliśmy do domu. Ojciec był rozczarowany biedą jaką widzieliśmy w tej wsi. Tego, co zdobyliśmy, było niewiele, ale i tak się opłaciło. Teraz było nam trochę lepiej. Mieliśmy jeszcze trochę mąki z zapomogi, a teraz doszły te ziemniaki i proso.

Odnieśliśmy jeszcze jeden sukces. Matka nasza otrzymała pracę w zakładach zbożowych. Starła się o tę pracę po utracie posady w piekarni. Tym razem matka podjęła pracę w charakterze tragarza. Chęć otrzymania pracy w zakładach zbożowych była podyktowana znów tym samym

co w piekarni: przy czym się pracuje, to z tego się żyje. W tych zakładach nie było elewatorów lub przenośników do transportu zboża. Do zakładów były przywożone zboże z kołchozów. Była to najczęściej pszenica bardzo zaśmiecona i zanieczyszczona chwastami, prawie pośladowa. Zboże było czyszczone na wialniach i sortownikach mechanicznych ale zsypy do nich były wysoko jakby na pierwszym piętrze. Matka nosiła zboże w workach na górę do zsypu, na własnych plecach. Wejście na górę było po trapie, to jest po pochylni z desek, do których przybite były w pewnych odstępach drewniane poprzeczki, tworząc namiastkę stopni. Po wniesieniu worka na górny poziom, wysypywała z niego zboże na pomost, z którego później za pomocą drewnianej łopaty zgarniała je do bunkra zsypowego, nad dolną wialnią lub sortownikiem.

Praca matki była niewyobrażalnie ciężka, prawie katorżnicza. Znow pracowała nie za pieniądze a za to, że idąc do domu „zabierze ze sobą” kilka garści pszenicy. I tak też było. Zakładała luźniejsze kamasze i dbała o to żeby się jej do tych kamaszy trochę tej pszenicy nasypało. Cierpiała bardzo bo pszenica uwierała ją w stopy. Nogi w łydkach miała obrzękłe od opuchlizny i z przemęczenia. Nadmierny wysiłek spowodował żylaki na nogach, które z czasem stały się otwartymi ranami. Do końca życia matka cierpiała na te żylaki. Skórę na łydkach miała w ropiejących i sączących się ranach. Po powrocie do domu matka wytrzeptywała z butów, kieszeni i rękawów ziarno pszenicy. Czasami przy większym ryzyku, matka przynosiła około pół kilograma pszenicy, albo i więcej. Za to również groziło jej wyrzucenie z pracy, tym bardziej, że przyjmujący matkę do pracy wiedzieli, iż z piekarni była usunięta za wynoszenie chleba. Była upominana, żeby nie wynosiła zboża, bo znów wyrzucą, albo jeszcze osądzą. Matka przyrzekała ale nieszczerze, bo szła do tej pracy tylko po to, żeby przynosić do domu trochę pszenicy i w ten sposób ratować swoje dzieci przed głodem.

Nie była w tym odosobniona, co najwyżej skromniejsza od innych, kobiet młodszych, które podlizywały się kierownikowi, nie wspominając o innych sposobach. Wszyscy kradli przeważnie z większym powodzeniem. Mieli lepsze układy z kierownictwem i z wartownikami. Wspólną zasadą robotników było: tam gdzie się da, to kraść zawsze ale po trochu. Robotnikowi czy robotnicy przyłapanym na wynoszeniu pół kilograma pszenicy przy pierwszej wpadce groziło ostrzeżenie. Przez miesiąc każdy mógł wynieść jeden „pud” ziarna, nie narażając się na więzienie. Gdyby cały pud wynosił ktoś za jednym razem i został przyłapany, to miał zapewniony wyrok.

W tym czasie mieszkaliśmy przy Aszkaulskim Trakcie. Nie pamiętam dokładnie, kiedy to czarne chmury zawisły nad losami Polaków, ale my-

ślę, że było to zaraz po wymarszu wojsk generała Andersa. Od tej chwili Polacy byli gorzej traktowani i nie docierała do nas pomoc z Zachodu. Już zima 1942/1943 na Aszkaulskim Trakcie mocno dawała się nam we znaki. Dom był źle wykończony i wiało do niego ze wszystkich stron. Rodzice szli do pracy, a my siedzieliśmy prawie cały dzień pod pierzynami. Tęskniliśmy za mieszkaniem przy Protocznej, gdzie wprawdzie było ciasno i duszno, ale za to ciepło i wesoło w większej gromadzie. Nie pamiętam, czy były jeszcze jakieś inne powody ale przede wszystkim że ojciec nas spodziewał się powołania do wojska więc postanowili pójść do burmistrza i poprosić o jakieś cieplejsze mieszkanie, żeby w razie gdy zostaniemy sami, żeby nam było bliżej do śródmieścia, nawet jeśli byłyby tam warunki gorsze pod względem metrażu. Poszedł więc ojciec z panem Tarką do burmistrza i prosili o pomoc. Chodzili kilka razy do różnych przedstawicieli władz miejskich. W rezultacie załatwili sprawę pomyślnie. Jeszcze tej zimy przenieśliśmy się do małego domku w samym centrum Kanska, na ulicę Sowietskaja 10 - Leninskij Sad. Była to stróżówka przy parku im. Lenina. Park miał kształt prostokąta o wymiarach 200 na 150 metrów. Przylegały do niego ulice. Wzdłuż dłuższego boku ulica Lenina, na której było główne wejście do parku Lenina. Była to jedyna ulica solidnie utwardzona. Biegła ona do dworca kolejowego w kierunku rzeki Kan.

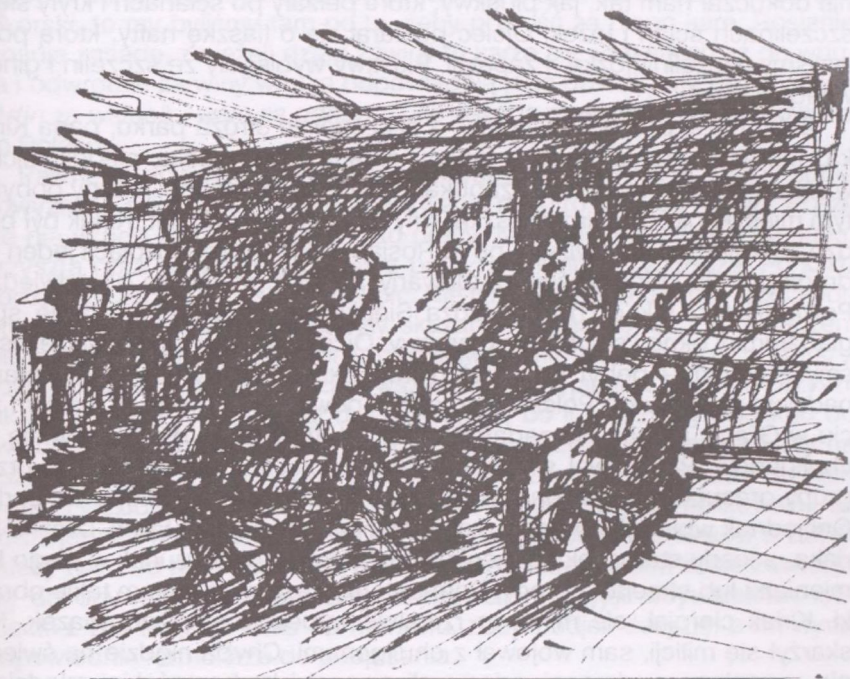
Jej ujście miało kształt litery „T” i znajdowało się na tej ulicy, przy której była bania, do której chodziliśmy po wodę z ulicy Protocznej.

Od dworca kolejowego ulica była zabudowana po obydwu stronach domami przeważnie murowanymi, parterowymi i piętrowymi. Blisko dworca, z prawej strony, była duża szkoła w murowanym piętrowym budynku, za nią kilka domostw, przecznica i dalej zaczynał się park Lenina. Za parkiem był dawny plac rozrywek z wieżą spadochronową. Za placem zabaw następna przecznica i plac, którego nazwy nie pamiętam, a umownie nazwę go placem defilad, gdyż urządzano tu wiece i defilady z okazji rocznicy rewolucji październikowej i pierwszego maja. Zimą 1 stycznia stawiano tu choinkę.

Ulica Sowiecka, przy której mieszkaliśmy, była krótka. Zaczynała się na przecznicy za placem defilad i kończyła się równo z parkiem Lenina. Przy ulicy Sowieckiej, na rogu przy placu defilad, był „restoran”, a bliżej naszego miejsca zamieszkania, po przeciwnej stronie mieścił się „magazyn”, gdzie przez cały czas pobytu wystawaliśmy w kolejkach po chleb na kartki. Ulica, która kończyła się ulicą Sowiecką, oddzielała park Lenina od miejskiej zabudowy i nazywała się „Paryżskiej Komuny”. Prawa strona ulicy Sowieckiej od przecznicy z pocztą - to parkan starego cmentarza cerkiewnego z odpiłowanymi przez Skłodowskiego krzyżykami, o czym już

pisalem. Dalej ciągnął się park Lenina. Za nim stała stróżówka, gdzie zamieszkaliśmy i szalet publiczny.

W centralnym punkcie parku Lenina stał betonowy cokół, a na nim piersie Lenina otoczone kwiecistym klombem. W parku było kilka alejek spacerowych z ławeczkami obleganymi całymi dniami przez rannych żoł-



nierzy frontowych. Wychodzili ze szpitala o własnych siłach, albo z pomocą innych, niektórzy przywożeni byli na wózkach.

Drewniany domek stróżówki był dotąd zamieszkały przez trzy rodziny, teraz doszły nasze dwie. Były w nim cztery samodzielne mieszkania. Były to mieszkania jednoizbowe o powierzchniach nie przekraczających 10m² każde. Wchodziło się do domu przez ciemną sień, rodzaj korytarza, z którego drzwi na prawo prowadziły do mieszkania stróża, zaś drzwi na lewo do izby pary staruszków, których bliżej nie poznałem. Na końcu korytarza było wejście do małego przedpokoju z paleniskiem kuchennym, skąd wchodziło się na prawo do państwa Isupowów, a na lewo do małego pomieszczenia oddzielonego przepierzeniem z pryczą i oknem na ulicę So-

wiecką. Tu rozlokowała się czteroosobowa rodzina pana Tarki, na powierzchni około 5 do 6 m². Stąd wchodziło się przez otwór ścienny przy samym piecu do pokoiku o powierzchni około 9m², gdzie rozlokowała się nasze siedmioosobowa rodzina.

Mieszkanie było brudne i zapluskwione, ale ciepłe. Oczywiście brud nie dokuczał nam tak, jak pluskwy, które pełzały po ścianach i kryły się w szczelinach ścian i łóżek. Ojciec postarał się o flaszkę nafty, którą polewaliśmy szczeliny łóżka i zapalali. Pluskwy wybiegały ze szczelin i ginęły w płomieniach.

Żeby bliżej poznać sąsiadów, a szczególnie stróża parku, pana Kiriaka, któremu przed paroma dniami zmarła towarzyszka niedoli, ojciec wziął mnie do towarzystwa i zapukał do Kiriaka. Był to mój jedyny pobyt w tym mieszkaniu, chociaż mieszkaliśmy tam jeszcze parę lat. Kiriak był bardzo zdziwiony naszą wizytą, bo tu Rosjanie żyją raczej w izolacji jeden od drugiego, ale jednocześnie uradowany, że ktoś przyjaźnie go odwiedza. Powiedział, że nikt go nie odwiedza. Siedziałem na drewnianej ławie, spoglądałem w okno i słuchałem rozmowy. Ojciec wyjaśnił Kiriakowi, że jesteśmy Polakami i pobyt tutaj traktujemy jako chwilowy, bo ciągle mamy nadzieję powrotu do Polski. Staruszek opowiadał o swoim przeszłym życiu w Grecji, jednak nie zapamiętałem, jak trafił na Sybir. Skarżył się na chuliganów. Pokazywał siniaki na głowie i plecach zadawane mu przez grupy grasujących chuliganów, którym Kiriak zabraniał wstępu do parku. Oni jednak wbiegali do parku, robili szkody: łamali płot i ławki. Drażnili Kiriaka, a kiedy staruszek zdenerwowany biegł za nimi, rzucali w niego kamieniami lub strzelali z procy. Sam potem często widywałem takie obrazki. Kiriak cierpiał, ale mimo to rzetelnie wypełniał swój obowiązek. Nie skarżył się milicji, sam wojował z chuliganami. Chyba nigdzie na świecie nie ma tak rozwydrzonej, zdemoralizowanej i barbarzyńskiej młodzieży jak w Rosji.

Mieszkający za przepierzeniem przy naszej izbie to Isupowowie: „*Diadía Pietia*” z amputowaną nogą, którą zdążył już utracić na froncie i „*tiotia Wiera*”, jego żona oraz córeczka Ludmiła lat 14. *Tiotia Wiera* stała się z czasem bardzo bliską nam osobą, prawie że rodziną. Przeżywała z nami wszystkie nasze ciężkie i smutne chwile. Bardzo nam współczuła, za co traktowaliśmy ją jak rodzoną ciotkę. Inwalida *diadía Pietia* zajmował się szewstwem, żeby łatwiej zarobić na życie i co najgorsze na wódkę, której z czasem pił coraz więcej. Pił z rozpaczą nad swoim kalectwem i coraz częściej urządzał swojej Wierze awantury. Wódkę było bardzo ciężko kupić, ale Isupow żądał jej za naprawę albo zrobienie butów. Przynosili więc klienci bimber, wódkę albo wino z trudem zdobyte.

OBYWATELSTWO Z PRZYMUSU

Nie pamiętam dokładnej daty, kiedy z nieznaną nam przyczyną, już po wymarszu wojska Andersa do Iranu, albo po odkryciu grobów Katynia, władze sowieckie zaczęły szkalować działalność generała Sikorskiego. Delegat donosił, że sytuacja komplikuje się z dnia na dzień. Jeśli zawinął Sikorski, to my byliśmy tam po to, żeby ponieść za niego karę. Rosjanie stosują zasadę, że jeżeli dziad zawinął to karze się wszystkich aż do wnuka i odwrotnie za winy wnuka odpowiadają jego przodkowie bez wyjątku. „Adin za wsiech i wsie za odnogo”. Ta zasada musiała być zastosowana do Polaków.

Pewnego dnia ni stąd ni zowąd wszyscy dorośli Polacy liczący sobie powyżej 16 roku życia otrzymali wezwanie na jutro rano do NKWD. Poszli ale nie wrócili ani do domu ani do pracy. Nie wiedzieliśmy, co się stało. Przyszła pora powrotu rodziców z pracy a oni nie przychodzą. Po kilku godzinach zaczęliśmy się niepokoić. Nie tylko my ale wszystkie dzieci polskie, łącznie z niemowlętami były skazane na pastwę losu. Zrozpaczeni nie mogliśmy zasnąć. Niektórzy popłakiwali, młodszy z tęsknoty a starsi z powagi sprawy. Na drugi dzień wszystko się wyjaśniło. Rodzice przyszli tak jak z pracy ale na drugi dzień. Przyszli, bo im także było tęskno do swoich dzieci. Opowiadali co przeżyli. Otóż kiedy się zebrali wszyscy na dużej sali w NKWD, to jeden taki wszechmożny pan przemówił do nich krótko i wężłowato, że sytuacja z Polskim Rządem się skomplikowała, nie podał jednak wyjaśnień. Obecnie rozwiązanie problemu Polaków w ZSRR zależy tylko od nich samych. Właśnie dlatego władze sowieckie zwracają się do obywateli polskich, żeby dobrowolnie przyjęli obywatelstwo sowieckie. Dał im jakiś czas do namysłu, żeby podjęli decyzję, a on wyda odpowiednie formularze do podpisania.

Ta wiadomość spadła na nich jak grom z jasnego nieba. Niektórzy popadli w obłąkany szal rozpacz. Kobiety szarpały sobie włosy na głowie, płakały i wołały:

- Co oni teraz z nami zrobią? Przepadły nasze nadzieje na powrót do Polski! Nie ma już Polski! Nie będzie Polaków! Co my teraz zrobimy?

Inni nawoływali:

- Nie dajmy się! Nie podpisujemy obywatelstwa sowieckiego! To byłoby niegodne Polaka!

Kiedy enkawudzista zapytał grzecznie jaka jest decyzja, to usłyszał odpowiedź:

- Nie!

To on jeszcze raz radził po dobroci, żeby się jednak namyślili i zostawił im kilka godzin do zastanowienia się. Powiedział, że dopóki się nie namy-

ślą, nie będą wypuszeni. Wybuchło oburzenie i przerażenie. Jeszcze kilka razy funkcjonariusz pytał o zdanie, ale coraz rzadziej, jakby mu nie zależało. Tak Polacy przesiedzieli cały dzień i noc. Byli załamani ale dzielni.

Wszystkie oczy zwracały się do delegata, pana Rudolfa, co on powie. Gotowi byli jakby zdać się na jego wolę, ale on nie miał koncepcji, z którą mógłby się zwrócić do wszystkich. Odpowiadał, że każdy musi myśleć i odpowiadać za siebie. Sam unikał rozmów i w zamyśleniu „bił” się z własnymi myślami. Był zdenerwowany. Pan Rudolf był tam z żoną Marią i z kuzynką panną Zosią. Uspakajał żonę i kuzynkę, a jak nie pomagało, to krzyczał na nie i prosił, żeby się opanowały, a jemu dały spokój. Godziny mijały i nic się nie zmieniało. Coraz bardziej ludzie chcieli wyjść stamtąd. Mówili, że w domu zostawili małe dzieci, że musi ktoś przynieść chleb i je nakarmić.

Odpowiadano im, że na razie nic nie da się zrobić, a jak zajdzie konieczność, to dziećmi się zaopiekują.

Koło południa pan Rudolf Puchalski przemówił do zebranych tam Polaków. Powiedział, że jego zdaniem niczego tu nie wywojują i on proponuje wypełnić ankietę. Powiedział, że honor Polaków nie będzie narażony na szwank, gdyż wszyscy wiemy, że to obywatelstwo gwałtem jest nam nadane. W sercach zostaniemy Polakami, nie zależnie od tego co na nas wymusili. Niektórzy protestowali. Przeważnie samotni i młodzi. Pan delegat powiedział, że każdy może postąpić jak uważa, ale on jest zdecydowany, bo na wolności więcej można zdziałać jak w niewoli. Uważał, że tak powinni postąpić wszyscy, którzy mają obowiązki wobec rodziny. Co innego samotni. I tak się stało. Podpisali ankietę, że dobrowolnie bez niczyjego nacisku, zwracają się z prośbą, każdy z osobna, o przyznanie mu obywatelstwa sowieckiego i podpis. Było kilku młodych zapaleńców, którzy tego nie podpisali. Nazwisk ich nie pamiętam. Zostali wywiezieni do lagrów lub na wielkie budowy komunizmu. Później nikt im nie proponował obywatelstwa, tylko po roku byli zwalniani z więzień i wcielani do Czerwonej lub Polskiej Armii.

Wyrażenie zgody na obywatelstwo sowieckie praktycznie nikogo w Kansku do niczego nie zobowiązywało. Może chodziło tylko o moralne zgnębienie Polaków przebywających w tym czasie na zesłaniu po całej Syberii. Nigdy tego nie odszczekano i formalnie może nasi rodzice byli już sowietami a my razem z nimi. Być może do kraju wróciliśmy nielegalnie. Wielu umarło śmiercią naturalną i nie zdawali sobie sprawy, że byli obywatelami sowieckimi.

Po złożeniu deklaracji koła polonijne jakby na jakiś czas ustały w swej działalności, aż przyszedł czas, że znów coś się stało na lepsze. Tym ra-

zem nadzieje Polakom przywróciła kobieta. Była nią Wanda Wasilewska. Przynajmniej takie mieliśmy odczucie.

Krótko cieszyliśmy się ojcami, którzy wieczorami byli z nami. Latem 1943 r. wielu Polaków, a w tym nasz ojciec i pan Tarko, otrzymali karty mobilizacyjne do I Polskiej Armii im. Tadeusza Kościuszki. Przygotowania były krótkie. Odjechali nagle w nocy. Nie budzili nas, chociaż obiecywali. Matka powiedziała, że ojcowie nie budzili nas, żeby sobie i nam zaoszczędzić przykrych scen pożegnania. Cały następny dzień ukrywałem się w parku, żeby ukryć swój żal za ojcem i miałem wyrzuty sumienia, że się sam nie obudziłem, żeby ojca odprowadzić na stację. Razem z ojcem i panem Tarką pojechało na wojnę wielu Polaków, myślę, że około 50% zdolnych do służby wojskowej. Pamiętam tylko kilka nazwisk naszych bliskich znajomych, jak na przykład: pan Kania z synem Jankiem. Z rodziny Krzywoniów poszły dziewczęta, między innymi Aniela Krzywoń. Był wśród nich pan Micek i inni. Zdawało mi się wówczas, że mój ojciec był za stary a wzięli go razem z młodymi. A tymczasem liczył sobie wówczas 41 lat, był jeszcze młodym mężczyzną, ale dziecku wydaje się, że ojciec zawsze jest stary. Rówieśników ojca było najwięcej w armii, co potwierdzało zdjęcie grupowe, jakie zostało nam na pamiątkę.

Mężczyźni, którzy pozostali, również otrzymali karty powołania do armii, ale innego koloru i data powołania była przewidziana na późniejszy termin.

Długo czekaliśmy na pierwszy list od ojca. Długo dlatego, że z Kanska do Sielc poborowi jechali kilka tygodni. Nawet gdyby ojciec napisał zaraz po przyjeździe do Sielc, i tak się stało naprawdę, jak później się okazało, ale z Sielc czy z frontu list nigdy nie przyszedł wcześniej do adresata jak po 20 dniach. Stąd prosty rachunek: pierwszy list od ojca najszybciej mógł przyjść za półtora miesiąca od daty jego wyjazdu. Wreszcie doczekaliśmy się. Matka czytała list z dużymi przerwami bo się łzami zalewała. Pomagała jej czytać moja siostra Todzia. W tym czasie zorientowałem się, że ja bardzo słabo czytam po polsku i wcale nie lepiej pisałem, a tu teraz trzeba utrzymywać kontakt listowy z ojcem.

Na Podolu rozpocząłem trzecią klasę podstawową. W tajdze przez pół roku uczyłem się rosyjskiego, a później trzyletnia przerwa w nauce. Teraz się wstydzę, że przyszedł list od ojca a ja nie potrafię go przeczytać. Za każdym razem mama i Todzia czytały po kilka razy ten sam list, również na moją prośbę. Listy od ojca czytało się z wielką przyjemnością. Każdy jego list zaczynał się następującymi słowami:

„Kochana rodzino! W pierwszych słowach mojego listu odzywam się do Was boskimi słowami: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. A spodziewam się, że mi odpisze: Na wieki wieków Amen. Jestem zdro-

wy czego i Wam życzę z całego serca...". Dalej ojciec opisywał same najważniejsze sprawy. Każdy list od ojca był ostemplowany znakami cenzury wojskowej, a w treści często czarnym tuszem wykreślano słowa lub całe zdania. Pierwszy list od ojca był bardzo wesoły, bo nie chciał nas martwić.

SZKOŁA

Upłynęło co najmniej dwa miesiące od rozpoczęcia roku szkolnego 1943/1944. Mógł to być listopad a więc na Syberii już zima, kiedy przyszła do nas jakaś komisja z oświaty i spytali matkę dlaczego nie posyła dzieci do szkoły. Czworo rodzeństwa łącznie ze mną było w wieku szkolnym, a żadne aktualnie nie uczyło się. Matka powiedziała, że najstarszej córki nie posyła do szkoły, bo potrzebna jest w domu do pilnowania młodszego rodzeństwa, a troje następnych nie ma się w co ubrać do szkoły. Wysoka komisja nieco podebatowała między sobą i po chwili zapytała mnie, czy chciałbym się uczyć. Żeby być w zgodzie z tym, co powiedziała matka odpowiedziałem, że tak ale nie mam ubrania. Komisja nalegała, że wszyscy powinni się uczyć, ale jeżeli najstarsza córka musi się opiekować to tylko najmłodszym Romanem, a pozostała trójka dzieci koniecznie musi się uczyć. Obiecali matce, że jak się zdecyduje wysłać dzieci do szkoły, to oni postarają się o pomoc materialną przynajmniej dla jednego i tu wyraźnie dawali do zrozumienia, że mają mnie na uwadze, przypuszczalnie pasowałem do uniformów, jakie były na stanie. Kilka dni później otrzymałem nowe walonki na mój rozmiar, sznyel z sukna wojskowego, bluzę zwaną gimnastiorką koloru zielonego i czapkę uszatkę wojskową. Wszystko było na moją miarę jakby krawiec dla mnie to uszył. Później otrzymałem „*gałstuk*” czyli czerwoną chustę. Przebrałem się za „syna półku” i w takim stroju na razie bez książek, poszedłem do szkoły. W szkole w mojej klasie wszyscy uczniowie wiedzieli, że będą mieli nowego ucznia Polaka i czekali na ten okaz. Była to czwarta klasa czteroletniej szkoły podstawowej. Nauczycielka wprowadziła mnie do klasy, w której przed chwilą wrzało jak w ulu. Kiedy weszliśmy do klasy, wszyscy pierzchli na swoje ławki i stanęli wyprostowani i milczący. Nauczycielka przedstawiła mnie mówiąc, że jestem Polakiem, mam na imię Zenon. Kazała mi usiąść w pierwszej ławce prawego rzędu obok Wowki, chłopca bardzo sympatycznego i kalekiego, z obiema nogami po chorobie Hejnego-Medina. Pani oznajmiła, że będę potrzebował pomocy i wyznaczyła dwóch najlepszych uczniów, którzy mieli mi pomagać w nadrobieniu materiału z języka rosyjskiego i z rachunków. W szkole prowadzono dożywianie dzieci. Na drugiej pauzie woźna przynosiła na tacy plasterki żytniego razowego chleba po 50 gramów każdy. Niektóre porcje miały poprzyklepiane małe kawałeczki dla wy-

równania wagi. Pani była wzruszona moją nędzą. Byłem bardzo wygłodzony i mizerny. Pamiętam, że do szkoły chodziłem na skróty przez „Leninskij Sad” na ulicę wychodziłem przeciskając się między sztachetami ogrodzenia. Wypatrywałem szerszej szpary między płaskimi sztachetami i próbowałem czy mieści się między nimi moja głowa. Jeśli próba wypadła pomyślnie, wycofywałem głowę a wsadzałem najpierw prawą nogę ponad dolną poprzeczką ustawiając się bokiem i jednym susem przechodziłem na ulicę Lenina, którą szedłem kilkaset metrów do szkoły w kierunku dworca kolejowego. Pani wystarała się dla mnie, w drodze wyjątku, o dwie porcje chleba, to jest 2 x 50 g. Chleb był czarny i bardzo wilgotny to też porcyjki wyglądały jakby kęsy jednorazowe. Brałem je do ust i błyskawicznie połykałem. Chleb był zjadany przeze mnie tak szybko, jak to czyni głodny pies, któremu rzuca się kawałki chleba, a on je łapie w locie i połyka. Było tak dlatego, że na widok chleba miałem pełne usta śliny, w której topił się chleb natychmiast. Dzieci spełniały prośbę pani i chętni mi pomagali, nie tylko w nauce ale i w wyżywieniu. Pomimo, że dostawałem dwie porcje chleba, to niektórzy, bardziej syści z domu, czasami oddawali mi swoją dolę albo małą jego częśćkę. Żywili mnie jak wróbla

Dzieci miały obowiązek zakładać na szyję czerwone chusty. Ja się tego wstydziłem, więc z domu wychodziłem bez „gałstuka” i zakładałem go dopiero w krzakach parku, przed przejściem przez parkan. Po kilku miesiącach dożywiania w szkole coraz trudniej było mi wyszukać między sztachetami szpary przez które mógłbym teraz przejść. Bywało, że głowa się mieściła a tułów nie. Musiałem więc przechodzić tylko w jednym miejscu, gdzie szpara była wyraźnie szersza na skutek wypaczonej sztachety. Wyznaczony chłopiec do pomagania mi w rachunkach, tylko raz poświęcił dla mnie sporo czasu po lekcjach u niego w domu. Następnym razem, za tydzień, nie miał czasu a na tydzień następny nie potrzebowałem pomocy, bo już się sam nauczyłem. Najwięcej korzystałem na lekcjach przy najtępszych uczniach, którym pani na okrągło wykladała jedno i to samo po kilka razy a oni nie mogli tego pojąć. Byłem bardzo uważny na lekcjach i ta cecha pozostała we mnie na zawsze. Przez całą zimę 1943/44 r. Chodziłem pilnie do szkoły, bo inaczej groziło mi odebranie walonków i całej odzieży jaką otrzymałem na tę okoliczność. Oprócz mnie poszli do szkoły moja młodsza siostra Krysia i braciszek Michałek. Wiosną 1944 r. opuściłem zajęcia szkolne, bo musiałem chodzić na pola kołchozowe i zbierać kłosa pszenicy na roztopionych i osuszonych ścierniskach. Poza wyprawami na kłosa nieco później chodziliśmy też jakie 6 km w dolinę Kanu, na zielone łąki i zbieraliśmy szczypior z dzikiej cebuli oraz szczaw. Szczypior był bardzo potrzebny wszystkim a szczególnie cierpiącym pod koniec zimy na awitaminozę i kurzą ślepotę. Oficjalnie jednak ukończyłem

rok szkolny. Więcej mnie do szkoły nie ciągnęło. Poza szkołą miałem w domu wiele do roboty.

PASTUSZENIE

Musiałem starać się o opał a potem ciąć i rąbać drewno. Do pomocy miałem 10 letniego Tadeusza Tarkę. Ściągaliśmy opał skąd się dało. Często po prostu kradliśmy gdzie popadło, łącznie z podprowadzaniem luźno już leżących desek lub legarków trotuarowych z ciemnych ulic. Tuż za parkanem w parku był cmentarz i budynek dawnej cerkwi. Właśnie budynek cerkiewny był teraz adaptowany na stołówkę wojskową i prowadzono tu roboty budowlane. Pracujący tam robotnicy ścigali i przycinali jakieś belki drewniane, a oprócz tego było tam sporo starego drewna z rozbiórki. Wieczorem gdy skończyli roboty, pozostawał tylko stróż, który często melinował się gdzieś w zakamarku i spał, a my podchodziliśmy i podprowadzaliśmy jakiś legarek lub dechę. Szybko trzeba było popiłować drewno i porąbać, żeby w razie rewizji nie wydało się iż jest to kradzione drewno. Stróż parku Kiriak, którego już wspominałem, nie sypał nas, ale pod jednym warunkiem, żeby nie robić szkody w parku, a myśmy tego warunku ściśle przestrzegali. Kiedy rąbaliśmy kradzione drewno Kiriak mówił do nas: „*Rebiata maładcy*”. Tiotia Wiera też aprobowała nasze działanie, bo kuchnia, w której paliliśmy była wspólna. Sama też drewna nie miała, to przy naszej zupie ugotowała lub usmażyła ziemniaki dla swojej rodziny.

Po pewnym czasie, kiedy na dole cerkwi trwały roboty budowlane, to na górnym poziomie działało biuro wojskowe, coś w rodzaju naszego WKR. Obiekt był duży, a teraz w Kansku szkolono mnóstwo wojska i co tydzień jakąś kompanię z orkiestrą odprowadzano do stacji kolejowej, skąd jechała dalej na front. Potrzebna więc była duża stołówka wojskowa. W nawie bocznej od strony zaplecza, wstawiono duże żeliwne kotły i obmurowano je tak, że pod nimi były paleniska. W nawie środkowej, największej, była sala jadalna. W innych nawach była zmywalnia i magazyny żywnościowe. W czasie robót adaptacyjnych jeszcze nie wiedzieliśmy, że ta stołówka w znacznym stopniu przyczyni się do ratowania nas od głodu, a może i od śmierci głodowej. Bowiem wyżywienie ciągle się pogarszało. Były dni bez chleba w całym mieście, bo piekarnia się psuła. W tym czasie zamiast chleba wydawano mąkę żytnią lub pszenną. Często chleb i mąka były „*kombinirowanyje*”, co oznaczało mieszankę pszenną-żytnią. Za kilogram chleba wydawano 600 g mąki. Jeśli jednemu przypadało 400 g chleba, to dostawał za to 240 g mąki: szklanekę mąki na cały dzień jedzenia.

Co najmniej raz w miesiącu władze miasta deklarowały w imieniu ludności dzień bez chleba i mąki jako dar dla Czerwonej Armii. Na ogół ludzie z pokorą i goryczą przyjmowali tę wiadomość. Cel był tak wzniosły, że nie było jak protestować. W takie dni szczególne przygnębienie panowało wśród ludności miasta. Niektórzy popadali w depresję, dochodziło wówczas do różnych przykrych scen: płacz, histeria, przekleństwa na los lub na samych sprawców tego losu Niemców hitlerowskich, a przede wszystkim na samego Hitlera. Rosjanie na ogół i tak byli w lepszym położeniu od nas, bo byli lepiej zagospodarowani i prawie każda rodzina miała krowę. Tak żyli jak w tej czastuszce:

*Nada znat kawo liubit
I z kim paznakomitsia,
U kawo kartoszka jest
I karowa doitsia.*

My tutaj nie mogliśmy się dorobić krowy, bo po prostu teraz nie było to możliwe ze względu na głód powszechny i tę naszą tymczasowość oraz bezradność w tych warunkach, szczególnie gdy zabrakło nam ojca w domu. W związku z tym, że poruszyłem kwestię posiadania krów przez tutejszych mieszczan, to chciałbym opisać sposób utrzymywania ich w takim mieście jak Kansk.

Krowy z całego miasta były zbierane w duże stada i każdego dnia były wypędzane wczesnym rankiem za miasto. Wokół miasta były same pastwiska. Z każdej części miasta krowy były wypędzane na określone pastwiska. Stada liczyły po 150 do 200 sztuk. Krowy syberyjskie bardzo się różnią od krów rasy holenderskiej. Przede wszystkim są odporne na trudne warunki klimatyczne jakie tu panują. Są mniej mleczne ale odporne na głódówkę zimową i na duże mrozy. O paszę na zimę każdy właściciel stara się we własnym zakresie. Zimą tutejsze krowy obrastają długą wełną, która chroni je przed zimnem. Słabo żywiona krowa w czasie zimy zatracca całkowicie mleko.

Latem o świcie w każdej dzielnicy miasta rozbrzmiewają trąby pastuchów zawodowych. Są to ludzie na posadach państwowych albo zatrudnieni w rodzaju spółdzielni. Każdy z pastuchów dążył swoją trasą, przeważnie jakimś ciągiem ulicznym do traktu wylotowego. Pastuch, często z pomocnikiem, na czele swego stada pędził jednego lub dwa byki w zależności od wielkości stada. Często miał też ze sobą psa, który pomagał mu zaganiać krowy na pastwisku, kierować je na odpowiednie miejsce, które każdego dnia mogło się zmieniać.

Byki są najważniejszymi zwierzętami w stadzie i obsługują w miarę potrzeby całe stado. Jeśli były dwa byki, to zwykle jeden duży i stary, a drugi mniejszy i młodszy, można by go nazwać praktykantem. Nie stawał na

drodze staremuto bykowi, który na ogół rościł sobie prawo do własnej interwencji na wypadek gdy taka potrzeba w stadzie zaistniała. Czasem w sezonowym szczycie, gdy partnerek było więcej, to ten młodszy uprawiał romanse w bezpiecznej odległości od starego byka.

Pastuch idący ze swoimi bykami przez miasto robił wiele hałasu. Trąbił na rogu pasterskim przeważnie samodzielnie wykonanym, wydając głębokii jęczący dźwięk, na który krowy w zagrodach reagowały rykiem zwłaszcza i gdyby nawet gospodyni zasnęła to musiałyby się obudzić, bo jej krasuli było pilno wychodzić. Do trąbienia na rogu, ryku krów w sąsiednich zagrodach należy dodać też szczekanie psów w odpowiedzi na głos sygnału rogu pasterskiego, jak również strzały z biczapasterza. Bicz zwany tu *knutem*, miał krótki trzonek i długi splot rzemienia od trzonka gruby stopniowo coraz cieńszy i zakończony pojedynczym rzemieniem. Na ten poranny hałas nikt z przeciętnych mieszkańców nie reaguje, nic nie słyszy i śpi twardo. To też i ja rzadko budziłem się na tę okoliczność. O świecie gospodynie doily swoje krowy i wypuszczały za furtkę, do maszerującego stada. Powrót był późny, często po zachodzie słońca.

Niektóre gospodynie, które miały krowy po ocieleniu, w południe wychodziły na pastwisko, żeby je wydoić, albo zrobił to pastuch z pomocnikiem, jeśli był o to proszony. Mleko wypijali razem z psem. Nawet jak nie miał pozwolenia to i tak zwykle doily na swoje potrzeby za każdym razem inną krowę. Poznałem wiele zwyczajów pasterskich bo przez kilka dni przebywałem ze stadem na prośbę jednej gospodyni, która miała krowę młódkę i po ocieleniu była bardzo niespokojna. Pilnowałem jej, żeby się od stada nie odbiła w poszukiwaniu swego cielęcia. Tak myślała gospodyni, troszcząc się o swoją krowkę, ale naprawdę to nie było takiej potrzeby. Krowy dobrze trzymają się stada i centralnej postaci, to jest byka. Byk idzie w stadzie otoczony krowami jak kwoka kurczętami. Pastuch ukierunkowuje przemieszczanie się krów w żądanym kierunku lub naprowadza je na drogę. Krowy znają to i łatwo dają kierować sobą. Czasami przy dużym upale jest silne napieranie krów w kierunku wodopoju, ale jeżeli pora jest jeszcze nie odpowiednia, pastuch powstrzymuje krowy, zachodząc im drogę, albo szczuje je psem. Często można odnieść wrażenie, że pastuchowie są głupimi „*Iwanuszkami*”. Jednak ten, którego poznałem, nie był głupi tylko bardzo sprośny. Wyśpiewywał przeróżne sprośne albo kryminalne piosenki.

Latem 1944 r. zacząłem również pasać krowy w małych stadach razem z kolegami Calikami i Bońkiem Grochowskim oraz z dziećmi rosyjskimi. Na początku dla towarzystwa a później odpłatnie, bo nie wszystkie gospodynie oddawały swoje krowy na wypas do dużych stad. Pasaliśmy blisko domu, prawie w mieście. Na wyspie między Kanem a łachą za ulicą

Protoczną, były pola ogrodowe i małe łąki podmokłe. Niektóre gospodynie wynajmowały chłopaków do pasania swych krów na tych łąkach. Za tę usługę płaciły mlekiem, jeden litr mleka na tydzień i do tego jakiś posiłek w tygodniu lub co drugi dzień po pół litra mleka. Każdy z chłopaków miał po kilka krów do pilnowania. Ja miałem dwie a z czasem doszła mi trzecia.

Tak wypadło, że prawie każdego dnia chodziłem do którejś gospodyni przy spędzaniu krów do zagrody i dostawałem pół litra mleka. Był to bardzo duży zastrzyk w żywieniu mojej rodziny, a praca była nijaka i bardzo przyjemna w sporym gronie kolegów a i koleżanki też się trafiały.

